Rozmaitości

Dnia 13. października Ner. 41. 1832 roku.

PIELGRZYM Z ZIEMI ŚWIĘTEJ.

Zdarzenie prawdziwe
z dziejów ojczystych.

W rycérskim, Strypą oblanym, zamku Wilczki, leżącym na stronie południowéj koło wsi Sokołomy, nie daleko Buczacza, tego starego gniazda bohatérów, odgłos dzwonu, na wieczorną zamkowych wzywający modlitwę, ginał gdzieś w dalekich echach cudnéj okolicy. Zamkowi zgromadzeni w sali jadalnéj, ozdobionéj portretami przodków, przygotowywali się wzorem starożytnym do modłów, mających wieczerzą poprzedzać. Byłato ogromna, gotycka, na łukach oparta i u góry w kopułę wychodząca sala, oświecona dużą w środku wiszącą srebrną lampą, któréj światło jakkolwiek rozległe, nie do wszystkich jednakże zaglądało kątów sali i jak w przelocie tylko migało się po marsowatych, wąsatych twarzach przodków rodziny i malowanym ich zbrojom nadawało niekiedy chwilowego prawdziwéj stali połysku. Przy drzwiach stał duży dębowy kredens, napełniony srébrnemi naczyniami, a na środku znajdował się stół, także dębowy, przykryty drogim kobiercem.

Towarzystwo znajdujące się w sali składało się z kilku osób. Najprzód był pan zamku, dzielny, w najpiękniejszych latach męzkich będący mężczyzna, który ożeniwszy się z wdową po staroscie Wilczku, przybrał jego miano i herby. Obok siedziała żona jego, z domu Złotnickich, w lecie wieku będąca, któréj miłe, acz blade rysy twarzy powabną znamionowały wiosnę. Daléj siedzieli trzéj synowie jéj z piérwszego małżeństwa, z których najmłodszy miał już lat trzynaście, a przy nich zajmował miéjsce ich nauczyciel duchowny, stary kapelan zamku, będący niejako członkiem familii, wszakże ón ślub jeszcze dawał babce tych młodzianów, ich matkę chrzcił i także u ołtarza wiązał stułą jéj rękę ze starostą Wilczkiem, który w lat kilka po ślubie, poszedłszy r. 1621 z własną rotą pancernych na wyprawę chocimską, nie powrócił z niéj więcéj. Wróciwszy towarzysze jego oręża donieśli jednozgodnie o bohatérskiéj śmierci swojego wodza i tylko co do szczegółów zbaczali w opowiadania, a kochająca żona czas długi opłakiwała go w stanie wdowim, i wtedy dopiéro zmuszoną się widziała oddać rękę innemu, gdy dorastające jéj syny potrzebowały męzkiego przewodzcy, by ich kształcił w szkole rycérskiéj na przyszłych obronców ojczyzny, i gdy pod rządem kobiécym spustoszałe jéj włości jędrniejszego wymagały dozoru. Nigdy jednakże nie wspomniała bez westchnienia o zmarłym małżonku, z którym pierwszéj miłości łączyły ją ogniwa, i tém tylko pocieszała się zawsze w swoim, niekiedy udręczającym ją smutku, że obraz i cnoty piérwszego jéj małżonka odradzały się w dorastających jéj synach. Umiał cenić teraźniejszy jéj małżonek tę jéj skłonność dla piérwszego męża, i najmniejszym nie upomniał ją wyrzutem, gdy przy nim czasem

)(

w zadumaniu siedząc samotna, z westchnieniem patrzała na poległego obraz, wybornie trafiony na płótnie i łza potajemnie wykradła się z jej oka. Wszakże i dla niego była przywiązaną małżonką, a wiernością, tudzież dobrocią, umiała mu wynagrodzić to chwilowe czasem zapomnienie się, na które był zupełnie wyrozumiałym.

Po odmówionych modłach zasiedli do wieczerzy zamkowi; tymczasem pogodne niebo oblekło się chmurami, wiatr wzruszał starych dębów konary i dalekie, burzę zwiastujące, odzywały się gromy. Wszystko zapowiadało wzburzenie żywiołów i tylko jedna Strypa w sprzeczności z tą walką natury spokojnie bieg swój odbywała, odbijając częste łyskawice w swojem niezmęconém zwierciedle.

Strażnik na okrągłej, chorągiewką ozdobnéj wieży, zatrąbił w róg, bo jakiś podróżny zbliżył się ku bramie zamku i upraszał o schronienie przed burzą. Z doniesieniem o tem pobiegł giermek do pana zamku.

»Ktokolwiek jest podróżny ten,« rzecze pan zamku, wysłuchawszy doniesienia giermka, »wpuścić go trzeba. Nigdy wrota moje nie zamykały się przed obcym człowiekiem, a jeszcze w potrzebie będącym. Jak ón wygląda? Czy sam, czy ze świtą przybywa?«

»Sam jeden przybył« odrzekł służalec, »jestto jakiś pobożny pielgrzym i mówi, że z Ziemi Świętej, gdzieś tam z za morza, przychodzi.«

»Ach! to dobrze,« odezwał się syn najstarszy pani zamku, »będzie nam mógł wiele o krajach obcych opowiedzieć.«

»Możeto jaki nieszczęśliwy, z niewoli wypuszczony nasz ziomek,« dodała pani Wilczkowa z westchnieniem, »może był także na wyprawie chocimskiéj, znał mojego nieboszczyka męża i będzie mógł co nam o nim powiedzieć.«

»Ktokolwiek jest, niech wnijdzie, powiadam!« przerywał pan zamku, nie chętnie to widząc, iż okoliczność ta sprawiała żonie jego tak bolesne przypomnienie.

Odszedł służalec z rozkazami pana; wnet spuszczono most zwodzony i wszedł pielgrzym do sali jadalnéj.

Wchodząc przeżegnał się palcem, umaczanym w wodzie święconéj, która zwyczajem pobożnych przodków naszych przy drzwiach w srebrném znajdowała się naczyniu i rzekł: »Niech będzie pochwalony!«

»Na wieki wieków!« odpowiedzieli jednogłośnie obecni.

Przybyły pielgrzym byłto już szronem siwizny osypany mężczyzna, lecz krzepkość jego członków dowodziła, że nie ze starości, ale raczéj z nieszczęść musiał posiwieć. Byłto dąb, w saméj sile wieku strzaskany piorunem burzy. Brodę miał prawie długą po pas, u boku paciorki, a w ręku kij pielgrzymi, który z nim nie jedne zwiedził kraje, nie jedne zapewne odbył przygody. Może jedyny towarzysz i przyjaciel nieszczęśliwego.

Pan zamku powstał ku niemu i powitał przychodnia pełnym wina pucharem: »Posil się pielgrzymie i usiądź tu wraz z nami«.

»Za wasze zdrowie, za zdrowie łaskawéj pani, jéj dziatwy i wasze czcigodny kapłanie!« przemówił pielgrzym, wziął kielich i duszkiem wychylił. Łzy mu zakręciły się w oczach, gdy wzrokiem obwiódł po sali: »Przebaczcie mojemu rozczuleniu,« rzekł, »wasza obecność, głos ojczystego języka, te na ścianach szanowne przodków naszych oblicza, tak drogie sercu każdego Polaka, taki ucisk sprawiły w méj duszy, żem łzami na jaw okazać go musiał, łzami, które już dawno w oczach moich nie powstały. Lat dziesięć w krajach obcych w obcéj zostający niewoli, tęskniłem długo za krajem ojczystym, za gościnném u rodaka przyjęciem.«

»Jakież twe nazwisko pielgrzymie?« przemówiła pani zamku, miotana nieodgadnionemi uczuciami.

»Nie mam żadnego już więcéj,« ponuro odrzekł pielgrzym. »Zapomniałem o niém, o moich zaszczytach i herbach w długiéj tureckiéj niewoli i nie przychodzę do ojczyzny, ażebym témi skarbami popisywał się jeszcze, nie przychodzę ubogą moją, nieszczęśliwą postacią rumienić może mych krewnych, przychodzę tylko umrzeć na téj ziemi, gdzie raz piérwszy do mnie uśmiechnęło się słońce, i która kości mych przod-

ków przechowuje. Bo wierzajcie mi, że śmierć w ojczyźnie jest częstokroć milszą, jak po krajach obcych życie tułacze.«

»Kiedy i jakim przypadkiem dostałeś się do niewoli?« zapytał go syn najstarszy pani zamku, tajemném ku pielgrzymowi przykłoniony uczuciem, i ciekawy usłyszeć dziwne zapewne przygody jego życia.

»W bitwie chocimskiéj wpadłem w ręce Bisurmanów,« odrzekł pielgrzym po chwili milczenia, »w bitwie, gdzie orły nasze ściérały się tak dzielnie z dumnym półksiężycem.«

Przypomnienie to sławy ojczystego oręża, ożywiło smętną postać pielgrzyma; oczy błysnęły mu radością i podniósł się, jak burzą ugięta łodyga, ożywiona słońca promieniem. Pamięć lat młodocianych, spełnionych w świetnym zawodzie rycérstwa, była dla niego słońcem, chmury trosek i spędzającém z jego czoła.

Zaczął więc o wyprawie chocimskiéj rozmaite opowiadać szczegóły, opiéwał czyny bohatérów, których naocznym był świadkiem, śmierć tamże hetmana Chodkiewicza (d. 24. września 1621) i w ręku pana zamku błysnął puhar, poświęcony pamiątce dzielnych mężów i sławie ziemi ojczystéj. Potém opowiadał, jak go rannego wzięli Bisurmani w niewolą, jak przykrępowany do drugiego, równie nieszczęśliwego jeńca, mimo ran ciężkich i dokuczliwego upału, pędzony był z pośpiechem do Stambułu i jak, gdy zaledwo siły odzyskał, sprzedano go na targu, gdzie ludźmi, jak bydłem, prowadzono handel. Lat dziesięć w niewoli tureckiéj przeciérpiał, używany do najlichszych posług. Tam lub najcięższe prace musiał odbywać na lądzie, lub przykuty do galar, niewolnik, cieśniną Dardanellów na wolne wypływał morze i kierował statkiem pohańców. Wszystko w około niego szczęśliwą oddychało swobodą, tu wznosiły się na śmiejących się wyspach rozrzucone zamki, tam jak pasmo, rozciągała się owa cieśnina morska, sławna przebyciem nocném zakochanego Leandra*), mostem Xerxesa i żeglugą sułtana Solimana na prostéj tratwie, zdała zaś widać było mgłą pogody zadymione brzegi Azyi, odbijające się w kryształowym łazurze morza, a nad tém wszystkiem zaokrąglało się niebo czyste, pogodne, żadną nie przyćmione chmurką i szczęśliwszych godne mieszkańców. Sam ón jeden tylko nieszczęśliwym wydawać się musiał pośród téj szczęśliwéj natury, rzucony, jak sprzeczność, w odmęt, samą swobodą tchnącego krajobrazu, gdyby cień dla podniesienia światła w malowidle.

Dzięki niech będą ludzkiéj troskliwości trynitarzów, których szlachetném było zatrudnieniem zbiéranie pieniędzy na wykupno jeńców chrześcijańskich z niewoli tureckiéj. Żaden zakon w piękniéjszym nie powstał celu i nic szlachetniéjszego nie upoważniła religija. W czasach, kiedy zkąd inąd przesąd i ciemnota po nieszczęśliwéj rozlewały się Polszcze, kiedy gorliwie pracowano nad zatamowaniem zdroju światła, tak bujnie pod Jagiełłami płynącego; mimo skarbów, któremi rozrządzali, ubodzy trynitarze, całą staranność swoję zwrócili na to, by przynosić ulgę cierpiącej ludzkości, a łzy otarte nieszczęśliwemu jeńcowi, ręce jego z sromotnych kajdan uwolnione, radość rodziny, któréj powróconym został, to było jedyną i najpiękniéjszą ich usiłowań nagrodą!

Staraniom ich i nasz pielgrzym winien był wolność i powrót do ojczyzny.

Nieszczęścia pielgrzyma, zbyt wierną powtórzone pamięcią, łzy wycisnęły wszystkim przytomnym, a syn najmłodszy pani zamku rzekł: »Przecież nakoniec powróciłeś do swéj ojczyznie, przecież kiedyś ujrzą cię twoi krewni, twoje dzieci, jeźli je miałeś, lecz nasz ojciec, który był także na wyprawie chocimskiéj, ten nie powróci więcéj; poległ ón pod orężem Bisurmana i wiecznémi uczynił nas sierotami.«

Tu młodzianowi puściły się łzy strumieniem, lecz wyrazy te nadspodziewanie

*) Znana jest czytającemu światu przeprawa zakochanego Leandra do Hero po cieśninie morskiéj Dardanellów. Chcąc go naśladować awanturniczy Byron, płynął wraz z porucznikiem angielskim Eckenhead d. 3. marca 1810 po wyżéj zamku Sestos z Europy do Azyi, aż ku wsławionemu jego muzą zamkowi Abydos, przez przestrzeń 4000 sąż. i przesmykiem najniebezpieczniéjszym w świecie.

także dotknęły pielgrzyma, powstaje z miéjsca i głosem łzami przerywanym wymawiając te słowa: »Synu! Bóg ci powraca ojca!« pada w objęcie młodziana, po kolei ściska jego braci, a potém rzucając się do nóg otrętwiałéj tą sceną ich matki, mdleje, i — więcéj do życia nie powraca.

Czytelnicy domyśliwają się zapewne, że to był miany za umarłego starosta Wilczek. Radość z widzenia swéj rodziny, a może i smutek, iż żonę swoję innego zastał małżonką, gwałtownym napadem śmierć mu zadały i tyle różnych nieszczęść przeżywszy, uległ nagłemu wzruszeniu. Wszelka pomoc lekarska była daremną i nie zdołano przywołać go do życia. Spełniło się jak żądał, w grobie ojczystym, w rodzinnéj ziemi, obok kości przodków złożono jego zwłoki, i przynajmniéj przed śmiercią ojczystém odetchnął powietrzem.

Przybycie jego i śmierć raptowna przeraziły małżonkę, miała sobie bowiem do wyrzucenia, iż zbyt łatwowiernie nie pewnym o zgonie męża uwierzyła wieściom i innemu oddała rękę. Z rozpaczy udała się do poblizkiego klasztoru i tam w ślubach zakonnych resztę dni swoich przepędziła.

Nie sprzeciwiał się jéj w tém małżonek, umiał szanować żałość niewieścią, i krzywdę mimowolnie wyrządzoną Wilczkowi starał się dzieciom jego wynagrodzić, wychowując je jak swoje. Pisze Święcki w nowém wydaniu Opisu starożytnéj Polski (r. 1828 tom. II. str. 49.), »iż całe to dziwne zdarzenie (przypadające r. 1631) w jednéj z sal zamkowych dla uwiecznienia pamiątki odmalowane zostało. *S. L. J.*

POLICYJA FRANCUZKA.

Pan Sartines — opowiada księżna Abrantes w swoich pamiętnikach — miał przyjaciela, którego jak brata kochał. Przyjaźń taka jest czasami niebezpieczną; jednakże skłonność pa. Sartines ku przyjacielowi była tak mocną, jaką chyba czuje ku sobie dwóch ziomków w Monomopota, gdzie nié ma żadnéj innéj cywilizowanéj istoty. Przyjaciel jego uważał jednak za rzecz korzystniéjszą grać w istocie rolę Monomopotanina, lubo w innym względzie, jak się to poźniéj pokaże. Dnia pewnego rzekł przyjaciel w rozmowie: »Policyja jest pewnie rzeczą dobrą; jestem jednak przekonany, że wćpan nie dowiesz się o niczém potrzebném, dowiesz się o tém tylko, co ci powiedzieć zechcą.« Pan Sartines wziął to cokolwiek za złe. Wątpić o zręczności jego podręcznych byłoby to tyle, jak gdyby chcieć zaprzeczyć mu jego władzę; albowiem znaczenie jego w Wersalu zależało całkiem tylko na onéj nieporównanéj zręczności, z jaką rzecz najskrytszą wyśledzić umiał. Zapytał się więc przyjaciela w tonie wyzywającym, azali nie zdumieje się, jeźli mu z najmniéjszemi szczegółami opowie, co przez cały tydzień mówił, lub czynił. Przyjaciel rozśmiał się na to i rzekł: »Dobrze, przystaję; spróbujemy; lecz zakładam się o sto luidorów, że szpiegi wćpana nie będą wiedzieć wszystkiego dokładnie. Za warunek podaję jednak, że wszystko za nic rachować się będzie, jeźliby z każdéj czynności mojéj sprawy nie zdano.« — »Bardzo słusznie« odrzekł Sartines. Obaj więc przyjaciele dali sobie ręce i umówili się, że na zajutrz próbę rozpoczną. Szpieg, któremu poruczono śledzenie przyjaciela, a który przez to nowe zatrudnienie swoje sprawił dzień świąteczny rzezimieszkom paryzkim, iż mogli broić bezkarnie, stawił się dnia następnego przed panem Sartines i zdał sprawę, z postrzeżeń swoich. Z tych okazało się: że śledziony wstał o godzinie dziewiątéj, wdział szlafrok i pantofle, ćwierć godziny kichał, ziewał i kaszlał; potém pił czokoladę, czytał dziennik *Mercure de France* i buletyn Frerona; po czém list pisał, do kogo — nie wiedziano dokładnie, gdyż takowy schował natychmiast do kieszeni, gdzie nawet szpieg policyi nié ma przystępu, lecz byłto bez wątpienia list miłosny, albowiem papiér był perfumowany i bilecik bardzo elegancko złożony. Potém był przyjaciel w Tuileryjach na przechadzce; kilka razy przeszedł się po terasie nad rzeką i był w środkowéj alei; panią Arnould trzy razy powitał, raz panią Dugason, a panią Haussin

dwa razy; obiadował u Le Premier, a po jedzeniu grał z panią Premier *Cribbage*; z początku wygrał ośm luidorów, lecz wspaniałomyślnie przegrał je w końcu. Ztamtąd udał się na operę i lorynetował do wszystkich lóż, a szczególnie do jednej. Po operze wieczerzał u pana Sartines, gdzie zapewne nic szczególniejszego nie zaszło, mniemał zdawca sprawy, bo jak zgłodniały zajadał kilka potraw i tu wymienił potrawy, co wszystko pan Sartines potwierdził. «Ale jwpanie, co się stało z panem de N*, gdy pańskie pomieszkanie opuścił, tego ani ja, ani koledzy moi odkryć nie mogli; powoz jego bowiem tak prędko jechał, że żaden człowiek nie był w stanie dopędzić go« — »Jako nędzniku!« ofuknął go Sartines, »po toż nudziłeś mnie dwie godziny wyliczaniem szczegółów: o pantoflach, szlafroku, obiedzie, ażeby mi w końcu powiedzieć, że tam właśnie, gdzie była rzecz najważniejsza, ślad straciłeś?... Uważaj, byś mi jutro zdał dokładniejszy raport; bo chce wiedzieć, jak pan de N* każdą chwilę przepędza.«

Nazajutrz rzekł do przyjaciela swojego: »Słyszałem rzeczy o wćpanu, które dowiodę w końcu tygodnia. Takto więc żyjesz wćpan! Przyjmiej radę przyjacielską i nie bardzo zajmuj się aktorkami. Wczoraj w Tuileryjach widziano wćpana z najpiękniejszemi, strzeż się, by cię nie oszukano. Prawdziwej miłości nie znajdziesz u nich — wszak rozumisz mnie«. — »Rozumiem, i nie oczekując nawet rady jego, już ją wykonałem.« — »Istotnie?« zapytał Sartines z wzrokiem podziwienia. — »Tak jest, istotnie!« — »Więc powinieneś wćpan zrobić mnie powiernikiem swoim?« — »Bynajmniej; o czém chcesz wiedzieć, o tém dowiedz się od swoich szpiegów, ja będę milczał.« Pan Sartines, którego ciekawość bardziej tém oświadczeniem wzniecona została, z większą jeszcze niecierpliwością oczekiwał doniesień z dnia następnego, ale znowu nie dowiedział się tego, co wiedzieć pragnął. Tą razą także jak dawniej powtarzano mu o szlafroku, pantoflach, czokoladzie; ale od północy do pierwszej godziny zniknął znowu pan de N*, jak gdyby mocą czarodziejską, i nie odkryto o nim żadnego śladu. Sartines był mocno za to na szpiegów swoich rozgniewany i rzekł do nich: »Odprawię was natychmiast, jeźli mi jutro nie dacie o wszystkiem dokładnéj wiadomości.« Po takim wyroku przełożonego pomieszani szpiegowie pojrzeli po sobie, a jeden z nich rzekł z cicha do drugich: »Cóż teraz robić? Wiem tylko jeden sposób«... i szepnął coś towarzyszom. Pan de N* zaledwo wstał nazajutrz i chciał siadać do kawy, gdy służący jego zameldował trzech ludzi, którzy usilnie prosili, ażeby ich wpuszczono. Pan de N* nie był nieprzystępnym, kazał więc wpuścić tych ludzi i wyprawił służącego. »Mości hrabio!« przemówił pierwszy: »Nie zechcesz wćpan zapewne odbierać kawałka chleba biednym ludziom, mającym familije. Przyszliśmy więc do pana, prosić go, ażebyś nas ratował; bo jak służbę stracimy, nie będziemy mieli żyć z czego i nic nam nie pozostanie wtedy, jak tylko albo utopić się, albo się powiesić« i wszyscy trzej upad i mu do nóg — »Moi przyjaciele,« odrzekł pan de N* podnosząc ich, »dla Boga! cóż wam jest? Jakimżebym sposobem mógł mieć wpływ na los wćpanów? Nie rozumiem was.« — »Wszystkiego tego nieszczęścia narobił zakład pański z panem de Sartines; kazał nam sobie donosić, co pan w każdéj chwili robisz. My wiémy wszystko.« Pan de N* zaczął pojmować zagadkę. — »Ależ sam pan zapewne będziesz tego zdania, że nie możemy żadną miarą powiedzieć panu Sartines, iż w godzinie, w któréj niby nic wiemy, co wćpan robisz, bawisz u jego żony, a jednak coś mu powiedzieć potrzeba. Albo więc pozwól nam panie wymyślić bajkę jaką, lub bywaj gdzie indziej.« Pan de N* spojrzał na mówiącego, rozśmiał się i rzekłszy: »Szczwany lis z ciebie!« rzucił mu kieskę, napełnioną złotem. »Podziel się tém z twojemi kolegami, ja przegram zakład.« Przyznał się więc do tego, co o nim panu Sartines doniesiono i wypłacił przegranę zakładu. Mniemane upokorzenie się jego przyjął pan Sartines z radością i rzekł: »Wiedziałem, że się tak skończy, bo jakże mogłeś sądzić przyjacielu, ażeby przed szefem policyi coś ukrytego być mogło?

Ale dla czegoż, nie miéj mi tego za złe, miłostek swoich nie szukasz sobie w lepszych domach?«

PRZECHADZKA JESIENNA.

(Wiersz Kaź. Jaworskiego.)

Czegoż ten bocian patrzy mi w oczy?
Gdzie się obrócę — ón stoi,
Patrzy i stoi, lub zwolna kroczy,
Jak templarz w zakonnej zbroi.

Cichego smutku ponure godło!
Któż go tu za mną posyła?
Czy mej tęsknoty tajemne zrodło
Wspólność mu losu odkryła?

Około gniazda dziś jeszcze rano
Smutnie klekotał, i krążył.
Jak gdyby wiedział, że mu kazano,
By w inne siedziby dążył.

I człowiek nie ma kolebki stałéj!...
Z jego ułudzeń dziedziny
Wiek go wypędza dojrzały,
Jak zima z nich gniazd ptaszyny.

Nie długo... o! nie! — trwa czas uroku
Jak w tęczy cień fijoletu;
Nic nie zostaje dla duszy wzroku,
Prócz zimnej prawdy skieletu.

Nikną omamień czarowne gaje,
Świat zmienia barwę nie trwałą:
Ach! ale na cóż serce zostaje,
Co bić dla szczęścia umiało?...

Rzeczywistości suche odłogi,
Wy nas od grobu dzielicie;
Powiedzcie! — wasze przeszedłszy drogi,
Czy tam tak martwe jest zycie?

O! znam ja życie! — życie aniołow,
Iskrą niebieską roztlone,
Lecz się niém trawi z ziemskich żywiołów,
Jestestwo nędznie złożone.

Niebo raz tylko, i to zdaleka.
Do łona swego nas tuli;
Właśnie — abyśmy dolę człowieka
Tym bardziej potém uczuli.

I mnie się dostał ten uścisk błogi,
Aniołów uśmiech widziałem,
Raj się usunął — a mgliste głogi,
Stanęły wiecznym przedziałem.

Wrócę się z smutnéj przechadzki, wrócę;
Pieśń, jak me serce, zbolałą
Do tkliwej lutni jeszcze zanucę;
To jedno co mi zostało.

Rzućmy te miejsca pełne pamiątek,
Gdzie świeże wszędzie tkwią ślady!
Mojego szczęścia w pośród tych szczątek
Błąka się jeszcze cień blady.

Tu nadto blizkie dla mnie wspomnienia,
Dla méj czułości tajnika;
Wiążą się jeszcze do tego cienia,
Co z gruzów uchodząc — znika.

Ptaku — ty stoisz — czy wdzięczny chowu
Chcesz mię pożegnać na drogę?
Leć! leć szczęśliwie! — wrócisz tu znowu?
Ja z tobą lecić nie mogę.

Byś wszystko zastał pilność podwoję;
Ty za swém gniazdem się smucisz?
Powracaj! znajdziesz Arkadyją twoję,
Ach! ale mnie jéj nie wrócisz!

DOMEK RODZINNY.

Do N. C.

Tam na ustroniu w zaciszy miłej,
Stoi domeczek schylony —
Tam Cię Twéj matki ręce powiły,
Przedmiocie mój ulubiony.

Pierwszy znak życia, dziecięcia jęki,
Mury domeczka słyszały,
Pierwsze anielskie uśmiechu wdzięki,
Na wszystko one patrzały.

Tam Cię w kolebce pulchnéj uspiła
Spiewem swym, matka, kwilącą,
Tam Cię do łona swego tuliła,
We śnie z aniołkiem mówiącą.

A gdyś już sił swych poczęła sama
Używać, biegać i padać,
Gdy Twe usteczka wyrzekły »mama,«
»Bozia,« gdyś mogła zagadać:

Natenczas serce matki pływało
W błogich zamęcie nadziei,
O pomoc Istność Wielką wzywało,
Byś doszła szczęścia koleji.

A Istność, będąc modłów jéj pomną,
Na Ciebie dary swe zlała:
Serce szlachetne, i postać skromną —
Powaby wszelkie Ci dała.

Co tylko myśl Twa wymagać może,
Posiadasz wszystko w nadmiarze,
Śmiało Ci dowód tego położę,
Niosąc i serce w ofiarze.

Miły domeczku, tyś mi świątynią,
Bo tam się bóstwo zjawiło —
Bóstwo méj duszy, które pustynią -
W raj by mi nawet zmieniło. *B. G.*

— Ze Lwowa. —

Ogłoszonego w roku zeszłym na prenumeratę dzieła z napisem: **Dykcyjonarz uczonych Polaków, czyli wiadomości o życiu i pismach dawnych i nowszych autorów polskich, podług alfabetu zebrane**; tom 1szy znajduje się pod prasą i wyjdzie niezawodnie r. b. w miesiącu grudniu. Prenumerata na tenże tom 1szy w cenie dosyć umiarkowanej, (gdyż po wyjściu z druku nastąpi zwyczajna cena sklepowa), to jest 1 złr. 30 kr. w mon. kon. przyjmować się jeszcze będzie do wspomnionego czasu druku, we Lwowie w księgarni jpp. Kuhna i Miłkowskiego, na prowincyi zaś w Tarnowie, Przemyślu, Stanisławowie i Tarnopolu.

— Z Warszawy. —

Dziennik Powszechny pisze pod dniem 21go września: Usłyszeliśmy nakoniec pana Dobrskiego, ucznia konserwatoryjum muzycznego. Młody ten tenorzysta wystąpił dnia wczorajszego w ulubionej Rossiniego operze **Cyrulik Sewilski**, przestawiając hr. Almawiwę. Posiada wiele łatwości w ruladach, głos jego jest przyjemnym, a przy częstém występowaniu w operach, gdy stanie się więcéj mężkim i nabierze pewnéj mocy i okrągłości, może pan Dobrski być użytecznym scenie naszéj, szczególniej w operach włoskich. Jestto nowy dowód, że konserwatoryjum dokładało wiele staranności i zdolnych nauczycieli posiadało. Pan Żdanowicz, mistrzowskim talentem, przedstawił komicznego nauczyciela muzyki, Bazylego; a pan Weynert grał wybornie wesołego i dowcipnego Figaro. Publiczność, po ukończeniu opery, wywołała zachwycającą, jak zawsze, pannę Wołków, która przedstawiała Rozynę; jakoteż i pana Dobrskiego. Orkiestra jak zawsze tak i wczoraj, pod dyrekcyją pana Kurpińskiego, odznaczyła się dokładnością exekucyi.

Tenże sam dziennik pisze z d. 30. września. Dnia wczorajszego przedstawiono od dawna nie widzianą komedyją Alex. hr. Fredra, tego polskiego Moliera: **Mąż i Żona**. Komedyja ta, jak i inne hr. Fredra, jest wziętą z tegoczesnych zdarzeń domowych; skreślenie charakterów trafne, styl i smak salonowy sprawiają, że komedyje jego zawsze z upodobaniem są przyjmowane. Panna Żuczkowska, w roli Elwiry, była wyborną, jak zawsze; nie staje już bowiem wyrazów, jakichby użyć można na pochwałę téj artystki; dosyć gdy powiemy: że rolę Elwiry przedstawiała panna Żuczkowska.

Koło Myszeńca w Polszcze, w puszczach na granicy pruskiej, mieszka lud dzielny szczepu Mazurów, Kurpikami zwany. Łowy i ćwiczenie się w strzelaniu jest wyłączném prawie zatrudnieniem Kurpika. Z dziecka zaprawia się Kurpik do strzelby i trafiania do celu. Na wysokiém drzewie kładzie ojciec kawał chleba, przeznaczony na jadło dla jego małego syna i ten dopotąd jedzenia nie dostanie, dopokąd strzałem chleba tego z drzewa nie straci. Działyńska, wojewodzina chełmska, zgromadziwszy w wojnie ze Szwedami r. 1705 około 6,000 tych Kurpików, odpierała z niemi różne nieprzyjaciół napady i 300 Szwedów, obwarowanych na cmentarzu w Ostrołęce, szturmem zdobyła; (pisze o tém Massuet w Historyi Polskiej tom III. str. 21). Załuski świadczy (tom III. str. 831), iż lud ten mężny wzbronił przejścia przez swe bory Karolowi XII., królowi szwedzkiemu, r. 1708, ciągnącemu z wojskiem do Grodna, kiedy król ten gardząc niebezpieczeństwy, postanowił przedrzeć się przez lasy, graniczące z osadami Kurpików. Straciwszy część znaczną lekkiej jazdy, gdy nawet przy boku jego ubili Kurpikowie drabanta, sam zaledwo do Szczucina umknąć zdołał. Pisze także l'Abbé Proyard w „Życiu króla Stanisława I." (tom I. str. 309), iż lud ten mężny, w sprawie króla tego użyty, pod dowództwem jenerała szwedzkiego Steinbocht, dzielnie popisywał się w Litwie.

Towarzystwo naukowe węgierskie odprawiło w Peszcie d. 8. września rocznicę swojego piérwszego zgromadzenia się. Mnoga ilość osób płci obojej z najznakomitszych klas mieszkańców uświetniła przytomnością swą ten uroczysty obrzęd. Miane były mowy i czytano rozprawy naukowe przez rozmaitych członków towarzystwa. W r. 1831 ustanowiona była nagroda 200 duk za najlepszy utwor poezyjny. Nagrodę tę dostał jx. Andrzej Horváth, proboszcz w Pármánd w dyjecezyi raabskiéj, autor pięknego poematu epicznego Arpadias, który z dwunastu pieśni złożony w Granie r. 1831 w języku węgierskim wydany został. Wyznaczono teraz nowe nagrody za najlepsze rozprawy w wydziale filologii, filozofii, dziejów i matematyki.

Akademija francuzka nowa poniosła stratę przez śmierć sławnego oryjentalisty **Chezy** (urod. w Paryżu r. 1773), który dnia 31. sierpnia r. b. na cholerę umarł. Tamże umarł także August **Kreutzer**, profesor przy konserwatoryjum i znany kompozytor muzyczny.

Dzieła Barthelemiego *Douze journées de la revolution* wyszedł właśnie poszyt szósty. Zawiera wypadki z d. 2. i 3. września r. 1792: *les massacres*. Sceny zaszłe w kościele, gdy trybunał przez Maillarda postanowiony, odbywał tam posiedzenia swoje, określone są z oburzającą prawdą. — Nowe dzieło Karola Nodier: *Souvenirs de jeunesse, extraits des Mémoires de Maxime Odin*, robi w Paryżu wiele wrażenia. Bohaterem romansu tego jest młody człowiek, któremu wszystkie kochanki, jakie miał w życiu, pomarły.

Skrzypce Paganiniego uzyskują co raz większy obręb działalności. W tym samym domu, gdzie Paganini mieszkał w Paryżu, zasłabła pewna młoda dama na cholerę i słabość jéj już na dość znacznym była stopniu. „Wiem o tem, że umrzeć muszę" rzekła słaba z postanowieniem, „ale jedno życzenie jeszcze odzywa się w mém sercu, to jest, ażebym przed śmiercią usłyszeć mogła niebiańskie tony Paganiniego." Artysta zawiadomiony o tém życzeniu udał się ze skrzypcami do téj damy i takie z nich wydobywał tony, że idąc z serca do serca wnikały. Co za dziwny skutek sprawił grą swoją Paganini! Czego sztuka żadnego lekarza sprawić nie mogła, uzdrowienie młodéj damy było jego dziełem. Tony niebiańskie ożywiły jéj skrzepłe ciało ciepłem dobroczynném, krew stygnąca zaczęła z ponowioną siłą krążyć po jéj żyłach i cały osłabiony organizm, przez wpływ gry mistrzowskiéj, nabrał znowu dawniejszéj czynności. Słychać, że zamówiono Paganiniego do Londynu, ażeby grywał w szpitalu cholerycznych.

Tak zwana **gadzina panien** jest to małe, lecz najprzyjemniejsze zwierzątko po między płazami. Żyje w Indyi Wschodniéj, tudzież na brzegach Malabaru i damy tamtejsze noszą je dla ochłody na piersiach. Nie jedna dama europejska wzdrygnie się zapewne na takie upodobanie w gadzinach, lecz coby powiedziano o pięknościach Barcelony, u których jest modą na balach lub przechadzkach chłodzić się żabami ogromnéj wielkości, nosząc je za gorsem.

Pan Hodgson, rezydent kompanii wschodnio-indyjskiéj w Nepalu, przesłał nie dawno towarzystwu azyjatyckiemu w Kalkucie wypchanego jednorożca, przez co dowiódł nam istnienie zwierzęcia tego, dotąd za bajeczne mianego. Zwierzę to, które w północnym Tybecie *Tsyjrou* nazywają, żyje najwięcéj w przyjemnéj dolinie Dielszelatu (Tygru), w prowincyi Dzang. Dolina ta pełna jest łożysk solnych i około tych przebywają te zwierzęta stadami. Są one zupełnie do gazel podobne i mają także

tak piękne oczy, jak tamte. Kolor ich skóry jest z wierzchu sarni, brzuch zaś i nogi mają białe.

Carne pisze w dziele swojém, wydaném r. b. w Londynie: *Lives of eminent Missionaries*, że najniebezpieczniejsze echo jest owo pod śnieżnemi górami Grönlandyi. Tak jest mocne, że głos u stóp gór onych wydany nagle rozszerza się aż do ich szczytów i łamie takowe, jeżli są kruche lub słabe. Pewien chłopiec, płynący raz na czółnie z siedmiu krajowcami środkiem dużej lodowatéj jaskini, uderzył kawałkiem drzewa o skórę, poprzek czółna rozpostartą. Huk do gromu podobny nastąpił, ściemniło się w jaskini, takowa się zapadła i pochłonęła czółno w bałwanach morza.

Dziennik wychodzący w Falmouth przytacza za dowód nadpodziw prędkéj komunikacyi morzem, zdarzającej się od czasu wprowadzenia okrętów parnych, podróż statku Firebrand, na którym przybyła do Anglii pierwsza wiadomość o zdobyciu przez dom Pedra miasta Oporto. Statek ten wypłynął dnia 2. lipca z Falmouth, a dnia 6. przywiózł już do Lizbony depesze admirałowi angielskiemu. Okręt ten parny odbył w ostatnich czterech miesiącach trzykrotną podróż do Korfu, a jednę do Lizbony, w ogóle 11,500 mil w dniach 66; wypada więc na dzień jeden 174 mil.

Wilhelm, dziarski, młody i majętny włościanin, rodem z Alzacyi, poznałbył ubogą, ale piękną i dobrą włościankę. Uważał ją za skarb dla wiejskiego gospodarstwa swojego i właśnie zamyślał już starać się o nią, gdy opuściła wioskę i do klasztoru wstąpiła. Ani przeczuwała nawet o skłonności Wilhelma ku sobie. Młodzianowi zaczęło odtąd nudzić się w domu, przyjął służbę wojskową i z czasem — zapomniał o Maryi. Jak rozpaczający bił się w latach 1791 i 1792. Poźniej cokolwiek, już jako oficer od hussarów, powrócił do swojéj ojczyzny i brzęcząc ostrogami pysznił się po bruku strazburgskim. Właśnie wtedy owa okrutna konwencyja posłała była komisarzy swoich do Strazburga, dla wzniesienia tamże guilotyty i poucinania głów, które się jéj nie podobały. Przypadkowo przechodził Wilhelm miejscem, przez które troje ludzi na r[illegible]towanie prowadzono. Po między dwoma dziko wyglądającymi zbrodniarzami szła dziewica w sukni zakonnej, będącej wtedy ogromnym występkiem. Pojrzała ku niebu stawiając nogę na pierwszy stopień rusztowania. Wilhelm poznaje Maryją. W chwili dobywa oręża, jak kula działowa przedziera się przez tłumy i dziewicę z rąk oprawców wyrywa. Z podziwienia i bojaźni przed pałaszem rozstępuje się lud, tak, że Maryją mógł Wilhelm odprowadzić do gospodyni swojéj, pewnej zacnéj niewiasty. Udał się potém do członków konwencyi, a ci uznali za rzecz roztropną nie drażnić młodego, odważnego żołniérza. Darowali mu więc życie młodéj zakonnicy. Gdy z wiadomością tą przybył do domu swojéj gospodyni, gdzie Maryja cokolwiek przyszła do siebie, uczynił jéj zapytanie: „Dla czego przeniosłaś pani śmierć, kiedy mogłaś się ocalić, zrzekłszy się sukni i przysięgi swojéj!“ Powiedział to rozrzewnionym, serdecznym głosem. Długo milczała dziewica, nareszcie podniosła wzrok, z którego najżywsza przemawiała pobożność. Słuchała głosu swojego wybawcy nie rozumiejąc onego, i nie patrząc nań nawet odrzekła: „Boże! kiedy taka wola twoja, bym dłużéj w klasztorze nie żyła, pozwól bym odtąd dni życia mojego pielęgnowaniu chorych poświęcić mogła.“ Wilhelm utłumił łzę w oku, gwałtem mu się cisnącą i puścił dziewicę. W lat dwadzieścia poźniéj, w bitwie pod Lipskiem, ranny śmiertelnie leżał bez pamięci w szpitalu, a ręce siostry miłosierdzia trzymały rozciętą głowę jego. Byłato Maryja.

Wiadomo, że wielożeństwo jest zwyczajem u Chińczyków; lecz dostarczanie do haremu cesarskiego pięknych dziewcząt nie należy tam, podobnie jak u Turków, do handlujących niewolnikami, ale sam cesarz robi co trzy lata przegląd dwunasto-letnich córek tatarskich urzędników swojego dworu i rodzin znakomitszych. Z pomiędzy tych dzieci wybiera więc ojciec cesarski państwa niebieskiego (tytuł cesarza chińskiego) żony i nałożnice. Dziewczyna trzy razy odbywszy przegląd, gdy ani pierwszą, ani drugą razą nie była wybraną, jest dopiero wolną od obowiązku przedstawiania się cesarzowi. Poźniéj jednakże musi raz jeszcze być przedstawioną władzcy państwa niebieskiego i z tych braków dopiero uzupełnia cesarz służbę swojego haremu, która składa się z 5,000 kobiet. Wybrane tym sposobem dziewczęta, są dopiero w 25tym roku wolne, lecz ta, co miała dziecko, może cesarz podług upodobania rozrządzać, i jak nałożnicę zatrzymać w pałacu. Nie wolno mu z resztą, według praw i zwyczaju, mieć więcéj, jak siedm prawnych żon lub nałożnic. Za teraźniejszego cesarza zdarzyło się, że jedna taka prawna nałożnica podstępem nieprawnéj, któréj była na zawadzie, z pałacu wypędzoną została, lubo przy nadziei była. Ale gdy syna powiła i cesarz dowiedział się o tém za pomocą władz rządowych, kazał wrócić jéj do pałacu i odtąd obchodzono się z nią z przyzwoitemi względami.

W Boulogne sur Mer, we Francyi, uwięziono, jako podejrzanego, pewnego olbrzymiéj postawy człowieka, ubranego w ceracie, a na rękach i nogach ciężkiemi obarczonego kajdanami, który przy kaplicy w polu, twarzą ku ziemi, leżał. Badany przyznał się, że jest Irlandczykiem, i że pielgrzymując do Rzymu dla odpokutowania grzechów, kajdanami sam się obciążył. (!)

Bociany muszą coś knuć zapewne, albowiem dnia 25go sierpnia r. b. przed południem taka ich massa leciała razem przez miasto Gleiwitz, w pruskim obwodzie Opolna, że przelot ich trwał blizko godzinę. Patrzący zdumieni byli taką ogromną ilością.

Przy obleżeniu Toulonu zażądał Napoleon żołnierza, dla podyktowania mu rozkazu. Junot, wtedy *la tempete* (burza) zwany, stawił się. Lecz zaledwo pisać zaczął, gdy kula działowa tuż koło niego w ziemię uderzyła i piaskiem posypała papiér. „Wdzięczny jestem Anglikom za to,“ rzecze Junot, „bo nie miałem piasku.“ Napoleon pojrzał nań z podziwieniem i łagodnie uderzywszy go po plecach, rzekł: „Jesteś odjutantem moim, kolego!“

Pewien szydzący z religii pytał raz doktora Marcina Lutra: „Gdzie Pan Bóg był przed stworzeniem świata i co wtedy robił?“ — „Siedział w lasku brzozowym,“ odrzekł dr. Luter, „i robił rózgi dla tych, co śmią czynić podobne pytania.“

Pewien młody przystojny woltyżer francuzki, z powodu wykroczenia przeciw karności na śmierć skazany, wystąpił na plac tracenia z odwagą nadzwyczajną, ubrany jak na bal i z różą w ustach. W chwili, gdy grenadyjerowie mieli wystrzelić do niego, wyjął różę z ust i zawoławszy: *A le plus belle!* rzucił ją po między zgromadzenie.

Pewien krawiec paryzki wynalazł kieszenie, w których znajdują się z drutu łapki na złodziejów. Jak tylko złodziéj do takiéj kieszeni siągnie, wnet schwytany zostaje i żadną miarą wyrwać się już nie może.

„Co jest dobrodziejstwo?“ zapytał pewien nauczyciel uczniów swoich. Żaden nie umiał odpowiedzieć. Nauczyciel zatem objaśniał, że dobrodziejstwem jest to, co człowiekowi sprawia ulgę w losie, radość lub pociechę mu czyni. Tak wyjaśniwszy rzecz, raz jeszcze spytał się jednego z uczniów: Co jest dobrodziejstwo? — Uczeń odpowiedział na to: „Dobrodziéjstwo jest ślizgać się po lodzie.“

Redaktor, Mikołaj Michalewicz. — Drukiem Piotra Pillera.